20 czy 100 milionów Polaków? Ostatni moment na decyzję

Bartłomiej Radziejewski, Jarema Piekutowski
Nowa Konfederacja

Bez systemu koordynacji międzyresortowej, który łączyłby kwestie bezpieczeństwa, rynku pracy, integracji społecznej i obywatelstwa, każdy większy napływ ludności – nawet kilku milionów mieszkańców – zostanie najpierw przeoczony w planowaniu, a następnie doprowadzi do chaosu demograficznego, społecznego i politycznego, zamiast przynieść trwałe korzyści narodowi.

Dane GUS-u są bezlitosne. W najbardziej pesymistycznym wariancie liczba mieszkańców Polski spadnie przed 2035 rokiem poniżej 35 milionów. W 2060 roku możemy mieć mniej niż 28 milionów mieszkańców. W 2024 roku liczba urodzeń w Polsce wyniosła jedynie około 252 tysiące, co stanowi najniższy poziom w całym okresie powojennym. Jednocześnie współczynnik dzietności spadł do 1,099, osiągając rekordowo niski poziom.

Depopulacja oznacza spadek siły militarnej, osłabienie gospodarki, coraz większe problemy z finansowaniem emerytur i ochrony zdrowia, niższą innowacyjność i coraz mniejszą energię społeczną.

Wyludniająca się wspólnota staje się politycznie skostniała, mniej skłonna do zmiany, bardziej podatna na stagnację. Do tego dochodzi emigracja: od lat kształcimy młodych ludzi po to, by tworzyli tanią siłę roboczą dla bogatszych państw Zachodu.

Przetrwanie państwa w geopolitycznej strefie zgniotu, czego dowiodły ostatnie lata i inwazja Rosji na Ukrainę – zależy od wielkości potencjału: ludnościowego, gospodarczego, militarnego. A międzynarodowy ład, który przez trzy dekady pozwalał nam wierzyć, że „historia się skończyła”, właśnie pęka w szwach. W tej sytuacji powinniśmy mówić jednym głosem: Polska musi być krajem ludnościowo średnim albo dużym – inaczej nie utrzyma podmiotowości. Tymczasem nasze wskaźniki rodzinne są na poziomie alarmowym. Żadne 500+, 800+, żadne „kosiniakowe” ani „babciowe” nie przełamało trendu. W Polsce rodzi się dramatycznie mało dzieci, a bariery są znane i od lat ignorowane.

Nie wystarczy przyjąć do pracy

Alternatywą staje się imigracja. Oficjalnie niechętny imigrantom rząd PiS-u sprowadził do Polski największą liczbę pracowników czasowych w Europie, głównie z Azji. Równolegle przybywali do Polski Ukraińcy, a po inwazji rosyjskiej ten proces przybrał rozmiary bezprecedensowe. Według ZUS-u już w 2022 roku mieliśmy w Polsce ponad milion legalnie pracujących cudzoziemców.

Problem polega na tym, że idziemy ścieżką, którą Zachód przeszedł pół wieku temu. Po zakończeniu powojennych programów „gastarbeiterów”, które miały być rozwiązaniem krótkoterminowym, wiele krajów Europy Zachodniej stało się na stałe obszarami strukturalnej imigracji. Niemcy, Francja czy Wielka Brytania przez dekady przyjmowały miliony cudzoziemców, głównie spoza Europy, w odpowiedzi na potrzeby rynku pracy, ale bez spójnej strategii integracyjnej.

Dziś liczba osób urodzonych za granicą we Francji sięga ponad 9 milionów, czyli prawie 14 procent ludności, a w Polsce jest to zjawisko relatywnie nowe i gwałtowne.

To przekłada się na realne napięcia społeczne i integracyjne. W wielu krajach zachodnich imigranci i ich potomkowie koncentrują się w dużych miastach, tworząc społeczności, które funkcjonują równolegle do reszty społeczeństwa. Efekty są już widoczne w nastrojach społecznych. Ostatnie sondaże pokazują, że w wielu zachodnioeuropejskich krajach – od Niemiec przez Hiszpanię po Wielką Brytanię – znaczna część społeczeństwa uważa, iż poziom imigracji był zbyt wysoki i że rządy źle sobie z tym radziły. Jak wskazuje John Henley w „The Guardian”, w Niemczech aż 81 procent badanych uważa, że imigracja była zbyt intensywna, a w Hiszpanii – 80 procent. Tego typu odczucia przekładają się bezpośrednio na wzrost poparcia dla politycznych sił sceptycznych wobec otwartego modelu migracyjnego.

Sytuację dodatkowo komplikują pewne cechy współczesnej cywilizacji. Po pierwsze, w warunkach rewolucji cyfrowej coraz łatwiej „mieszkać tu, żyjąc tam”. To samo, co rozbija wspólnotę sąsiedzką, powoduje, że imigrant zarobkowy z Azji może w niewielkim stopniu integrować się z lokalną społecznością. Jest to oczywiście internet, który ułatwia utrzymywanie silnych więzi z krajem pochodzenia i wspólnotą poza granicami kraju osiedlenia. Osłabia jednocześnie lokalne kontakty twarzą w twarz i integrację społeczną w kraju przyjmującym. Rezultatem jest era społeczeństw „rozsianych”, w których więzi lokalne łatwo ulegają rozmyciu, a migranci mogą pozostawać częściej relacjach transnarodowych niż w lokalnych strukturach społecznych.

Po drugie, bezprecedensowo dziś tanie i łatwo dostępne środki transportu sprawiają, że w krótkim czasie może dochodzić do wielkich migracji na duże odległości. W tym weaponizacji zjawiska przez nieprzyjazne ośrodki, jak na granicy polsko-białoruskiej. Mądra polityka imigracyjna musi uwzględniać – i neutralizować – te niebezpieczeństwa.

Nielubiane słowo – asymilacja

Tworząc tę politykę, warto wrócić do tradycji Pierwszej Rzeczypospolitej – republiki, w której naród był kategorią polityczną, nie etniczną. Współczesna wersja tej zasady jest oczywista: tak dla imigracji, ale pod warunkiem asymilacji.

To słowo nielubiane przez progresistów, ale coraz częściej powtarzane w Paryżu, Hadze i Kopenhadze – tam, gdzie na własnej skórze doświadczono skutków wielokulturowej utopii.

Po okresie dominacji polityk wielokulturowych i integracyjnych, które skupiały się głównie na dostępie do rynku pracy czy usług społecznych, wiele krajów zaczęło przesuwać akcent w stronę wymogów językowych i obywatelskich.

W XXI wieku państwa takie jak Wielka Brytania czy Holandia wprowadziły testy językowe i obywatelskie jako element kwalifikacji do naturalizacji. Oba te kraje dziś są często podawane jako główne przykłady tzw. „zwrotu obywatelskiego” [*civic turn*] w polityce integracyjnej Europy Zachodniej.

Jest to przejście od polityki wielokulturowości (gdzie państwo wspiera różnorodność i nie ingeruje w tożsamość imigrantów) do polityki integracji obywatelskiej (gdzie państwo stawia twarde wymagania i oczekuje przyjęcia określonych wartości).

W wielu krajach integracja imigrantów została przedefiniowana – od „procesu włączania” do bardziej wymuszonych i ukierunkowanych działań, które stawiają na wspólne wartości, język i udział w życiu społecznym.

W praktyce polityki te obejmują środki językowe oraz programy wprowadzające osoby przyjezdne w prawo i instytucje społeczeństwa przyjmującego, a ich celem jest wzrost spójności społecznej, a nie jedynie formalny status pobytu. Brak jasnych wymogów asymilacyjnych przyczynia się do powstawania równoległych przestrzeni społecznych i wzrostu poczucia wykluczenia – zarówno wśród migrantów, jak i mieszkańców przyjmujących.

Dlatego jeśli ktoś chce stać się Polakiem, musi wykazać, że nie tylko chce być częścią wspólnoty, ale potrafi funkcjonować w jej politycznym i społecznym rdzeniu. To oznacza nie tylko formalny dostęp do obywatelstwa, ale znajomość języka, rozumienie konstytucji i zasad państwa, orientację w historii oraz kulturowe podstawy wspólnoty politycznej.

Wymóg lojalności wobec państwa – praktykowany na przykład na Łotwie, gdzie deklaracja takiej lojalności jest elementem naturalizacji – i zobowiązanie do wychowania kolejnych pokoleń w duchu wspólnoty politycznej to składniki polityk, które w wielu krajach stały się faktycznymi narzędziami budowania trwałej wspólnoty obywatelskiej.

Przyciągnąć talenty

Aby Polska nie pozostała w tyle, musimy też zbudować system społeczny, przyciągający talenty. Kraje OECD tworzą obecnie wskaźniki atrakcyjności talentu i modyfikują polityki migracyjne tak, aby przyciągać wysoko kwalifikowanych migrantów, widząc w tym sposób na wypełnienie luk na rynku pracy i wspieranie długoterminowego rozwoju.

Polska jednak wciąż postrzegana jest w dużej mierze jako kraj emigracji – wielu wykwalifikowanych Polaków decyduje się na pracę za granicą.

Wprawdzie coraz więcej cudzoziemców wykonuje u nas proste prace – chodzi jednak o przyciąganie liderów innowacji, naukowców, przedsiębiorców i ekspertów w kluczowych sektorach.

Jeśli Polska chce być krajem, który stawia na rozwój, a nie tylko reaguje na potrzeby rynku pracy, musi przemyśleć swoje podejście do talentów. Rządy wielu państw – od Kanady po niektóre kraje UE – wdrażają specjalne programy wizowe, ułatwienia administracyjne i zachęty podatkowe skierowane do globalnych talentów.

Trzy razy więcej mieszkańców?

Należy też zadać sobie pytanie na bardziej ogólnym poziomie: Polska ma pozostać krajem relatywnie małym, czy aspirujemy do statusu państwa średniej lub dużej wielkości? Można oczywiście dalej pozostawić to losowi — tak jak do tej pory reagując doraźnie i bez planu — ale wtedy grozi nam kombinacja trzech zjawisk: postępujące wyludnienie, osłabienie pozycji Polski w systemie międzynarodowym oraz ryzyko niekontrolowanego wzrostu mniejszości bez efektywnej integracji.

Obecnie Polska pozostaje krajem stosunkowo rzadko zaludnionym: wskaźnik gęstości zaludnienia Polska ma około 122 osób/km², co plasuje nas poniżej niektórych państw europejskich o podobnej wielkości, takich jak Włochy (200 osób/km²), Niemcy (232) czy Wielka Brytania (287). Dysponujemy znacznymi przestrzeniami, które potencjalnie mogłyby pomieścić większą liczbę ludzi bez dramatycznych napięć infrastrukturalnych czy środowiskowych.

Uwzględniając te proporcje, nie jest abstrakcją myślenie o Polsce liczącej dwukrotnie lub nawet trzykrotnie więcej mieszkańców niż dzisiaj.

Nie uda się w państwie teoretycznym

Gdybyśmy jednak wprowadzili kompleksową politykę migracyjną i demograficzną, natychmiast stanęlibyśmy twarzą w twarz z jednym z największych ograniczeń polskiej państwowości: słabością państwa i brakiem skoordynowanej wizji strategicznej.

W praktyce odpowiedzialność za politykę migracyjną rozdzielona jest między Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, które odpowiada za legalność pobytu i nadzór nad obcokrajowcami, oraz Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, które skupia się na rynku pracy i aspektach socjalnych migrantów. Brakuje wspólnej platformy negocjacyjnej i procedur, które łączą te kompetencje w jedną całość.

Takie rozproszenie kompetencji jest charakterystyczne dla tak zwanego „państwa teoretycznego”.

Brak jednolitego podejścia skutkuje także niedostatkiem planowania strategicznego i analitycznego zaplecza. Brak pełnych, regularnych analiz kosztów i korzyści integracji, prognoz demograficznych z uwzględnieniem różnych scenariuszy migracyjnych, ani mechanizmów monitorowania wyników polityk.

Bez systemu koordynacji międzyresortowej, który łączyłby kwestie bezpieczeństwa, rynku pracy, integracji społecznej i obywatelstwa, każdy większy napływ ludności – nawet kilku milionów mieszkańców – zostanie najpierw przeoczony w planowaniu, a następnie doprowadzi do chaosu demograficznego, społecznego i politycznego, zamiast przynieść trwałe korzyści narodowi.

Podsumowanie jest brutalnie proste. Polska może być państwem liczącym 20 milionów mieszkańców – i wtedy będzie przedmiotem cudzych działań. Albo Polską 50- czy 100-milionową – podmiotem w Europie i w świecie.

O autorach

Bartłomiej Radziejewski

Prezes i założyciel „Nowej Konfederacji”, ekspert ds. międzynarodowych zainteresowany w szczególności strukturą systemu międzynarodowego, rywalizacją mocarstw, sprawami europejskimi. Autor książki „Nowy porządek globalny”, a także „Między wielkością a zanikiem”, współautor „Wielkiej gry o Ukrainę”, opublikował także setki artykułów, esejów i wywiadów. Pomysłodawca i współtwórca dwóch think tanków i dwóch redakcji, prowadził projekty eksperckie m.in. dla szeregu ministerstw, międzynarodowych korporacji, Komisji Europejskiej. Politolog zaangażowany, publicysta i eseista, organizator, dziennikarz. Absolwent UMCS i studiów doktoranckich na UKSW. Pierwsze doświadczenia zawodowe zdobywał w Polskim Radiu i, zwłaszcza, w „Rzeczpospolitej” Pawła Lisickiego, później był wicenaczelnym portalu Fronda.pl i redaktorem kwartalnika „Fronda”. Następnie założył i w latach 2010–2013 kierował kwartalnikiem „Rzeczy Wspólne”. W okresie 2015–2017 współtwórca i szef think tanku Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego. W roku 2022 współtwórca i dyrektor programowy Krynica Forum. Publikował w wielu tytułach prasowych, od „Gazety Wyborczej” po „Gazetę Polską”.

Jarema Piekutowski

główny ekspert do spraw społecznych „Nowej Konfederacji”, socjolog, publicysta (m.in. „Więź”, „Rzeczpospolita”, „Dziennik Gazeta Prawna”), współwłaściciel Centrum Rozwoju Społeczno-Gospodarczego, współpracownik Centrum Wyzwań Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego i Ośrodka Ewaluacji. Główne obszary jego zainteresowań to rozwój lokalny i regionalny, kultura, społeczeństwo obywatelskie i rynek pracy. Autor zbioru esejów „Od foliowych czapeczek do seksualnej recesji” [Wydawnictwo Nowej Konfederacji 2020] oraz dwóch wywiadów rzek: z Ludwikiem Dornem oraz prof. Wojciechem Maksymowiczem. Wydał też powieść biograficzną „G.K. Chesterton” [eSPe 2013].

Wyłączna odpowiedzialność za wyrażone opinie spoczywa na autorze i Komisja Europejska oraz Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji nie ponoszą odpowiedzialności za sposób wykorzystania udostępnionych informacji